

1924



BIBL. WROBLEWSKICH  
p-33299

XI-XII

Cena numeru 100.000 mk.

№ 1.

Wilno, 13 stycznia 1924 r.

Rok VII.

# Przegląd Wileński

## PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 6.000.000 mk.

1/2 „ — 3.000.000 „  
1/4 „ — 1.500.000 „  
1/8 „ — 1.000.000 „

### Otrzeźwienie.

Jak przewidywaliśmy w artykule „Odrodzenie lewicy“ (№ 11 „Przeglądu Wil.“ r. ub.), pod wpływem reakcyjnej polityki większości endecko-witosowej, w obozie lewicy polskiej daje się zauważyć wyraźna dążność do otrząśnięcia się z naleciałości nacjonalistycznych, które przyłgnęły doń za tych czasów, gdy dzięki wpływom Piłsudskiego lewica zaczęła dążyć do zajęcia dominującego stanowiska w państwie.

Przekonawszy się, że nie przeliczytuje endecji na punkcie egoizmu narodowego i że pod tym względem nie może rachować na pociągnięcie za sobą szerokich mas, pohopnych na wszelkiego rodzaju hasła szowinistyczne, lewica polska zwołna zaczyna nawracać do dawnego wypróbowanego programu demokratycznego, którego podstawę stanowią niezłomne zasady tolerancji i równouprawnienia. Ujawniło się to wyraźnie jeszcze za rządów Witosy, gdy się rozpoczęły pertraktacje pomiędzy lewicą polską a sejmowemi klubami mniejszości narodowych w celu wytworzenia wspólnego opozycyjnego frontu parlamentarnego.

Gdy upadł rząd endecko-piastowy, lewica nie zdobyła się wprawdzie na krok stanowczy i konsekwentny i p. Thugutt, otrzymawszy misję utworzenia gabinetu, nie zdecydował się na oparcie się o większość mieszaną, usiłując znów zlepować większość czysto polską, ale oświadczył przytem wyraźnie, że czyni to jedynie ze względów oportunistycznych, aby nie dać łatwej broni do ręki przeciwnikom z prawicy i zastrzegł się w którymś przemówieniu sejmowem przeciwko podziałowi obywateli państwa na kategorie pierwszego i drugiego rzędu.

Jeszcze bardziej znamienne jest stanowisko, zajęte przez świeżo założony tygodnik p. t. „Głos Wilna“, będący wyrazem poglądów naszej lewicy

demokratycznej, która w okresie, gdy się ważyły losy Wileńszczyzny, zatraciła całkowicie swoją linię programową i znalazła się w ogniu obozu wojującego nacjonalizmu.

Obecnie nastąpiło otrzeźwienie i zrozumienie popełnionych błędów, bo oto z widoczną skruchą pisze „Głos Wilna“: „A odpowiedzialność za to (t. j. za opłakane stosunki wewnętrzne w państwie) ponosi nie tylko nasz „nacjonalizm“, nie tylko sfery „prawicowe“, ponosi ją również i t. zw. lewica — za swój oportunizm — za swoją kompromisowość — za pobłażanie i nie przeciwdziałanie złu jeszcze wtenczas, gdy wpływ miała i na rząd i na sfery rządzące. Winne są i te wszystkie rządy kompromisowe z ramienia lewicy, które nigdy na program jasny zdobyć się nie miały odwagi, które wstydliwie unikały zetknięcia z naszymi „mniejszościami“ dla omówienia współżycia i współpracy państwowej. Obawiano się „opinji“, obawiano się krzyku i zarzutu „braku patriotyzmu i zdrady“...

Święte słowa, jakby żywcem wyjęte z niejednokrotnych rozważań na ten temat „Przeglądu Wileńskiego“!..

Powyższy zwrot w nastrojach lewicy zbiega się z budzącą się coraz bardziej w szerokich kołach miejscowego społeczeństwa niechęcią do centralistycznego kursu polityki polskiej, do czego zresztą w niemałym stopniu samo się przyczyniło, rezygnując dobrowolnie z samodzielnej roli i składając pokornie swe losy w opiekuńcze ręce Warszawy.

Trafnie nader ujmuje to zagadnienie w ostatnim swym numerze białoruskie pismo „Zmahańnie“.

„Ludzie, którzy wyrosli na naszej ziemi, którzy stanowią kość z kości i krew z krwi tutejszego ludu, nawet zatracając swe narodowe oblicze i przyjmując obcą mowę nie przestają czuć się synami tego kraju.

Oczywiście, takie poczucie synostwa w stosunku do ziemi białoruskiej (jak również Litwy! *Przyp. Red.*)



138039

138039



dostępne jest tylko tym, kto wynaradawiając się nie zatracił swej ludzkiej duszy. Dostępne ono było Mickiewiczowi, Czeczotowi, Moniuszce, szczególnie zaś jaskrawo uwydatniło się w tak bliskiej i rodzimej nam postaci „lirnika wioskowego” — Syrokomli. Poczucie te nigdy nie zanikało w lepszej części tutejszego społeczeństwa, stanowiąc podstawę obecnie politycznego kierunku t. zw. „krajowców”.

Jednakże od chwili, gdy kajzer Wilhelm II proklamował niepodległość Polski, szal nacjonalistyczny ogarnął omal nie wszystkich tutejszych Polaków. Wszystkie oczy w dzień i w nocy wpatrzone były w *miraż* wielkiej i potężnej Rzeczypospolitej — takiej, o jakiej marzyły pokolenia bojowników o jej niepodległość: Polska przedstawiała się im, jako urzeczywistnienie wielkiego potrójnego ideału rewolucji francuskiej — Wolności, Równości i Braterstwa wszystkich ludzi i narodów w granicach wskrzeszonego państwa.

Ale już pierwsze kroki wskrzeszonej Polski rozwiąły marzenia lepszych i bardziej przewidujących przedstawicieli miejscowego polskiego społeczeństwa. *Rzeczywistość* całkiem była niepodobną do *ideału*. I oto jednocześnie, gdy Studniccy rzucają się na szyję polskiemu żandarmowi, który ich aresztowuje i ciężką swą ręką bierze za kołnierz, Szafnagle stają w szeregach białoruskich pracowników, a Römerowie, zrzucając z siebie mundur legjonisty, idą budować niepodległą Litwę. Ale Szafnagle i Römerowie — to jednostki. Większość — to więksi lub mniejsi Studniccy. I większość ta „owczym pędem” Ignie do Warszawy, przywołując rozmaitych galicyjskich biurokratów „gospodarzyć i rządzić nami”. Ze szczególną siłą zaplanował ten „owczy pęd” w okresie t. zw. sejmiku wileńskiego, gdzie znalazł się, bodaj, jeden tylko człowiek Stefan Mickiewicz, który miał odwagę żądać samostności Litwy Środkowej. Nawet miejscowi socjaliści polscy, którzy tworzyli dawniej partję „P. P. S. Litwy i Białorusi”, przekształcili ją w okręgową organizację P. P. S., wyrzekli się swego krajowego stanowiska i głosowali za wcieleniem Wileńszczyzny do Polski. „Do Warszawy” — to dążenie, jak pisze „Słowo”, było tak popularne w styczniu i lutym 1922 roku, że „odstąpienie odeń lub krytyczne o niem uwagi w oczach wielu gorąco czujących Wilnian równało się niemal zdradzie narodowej”.

Sejm wileński, złożony wyłącznie z Polaków, bo Białorusini, Litwini i Żydzi nie brali w nim udziału, uchwalił to, do czego był powołany przez siłę wojskową, która po dyktatorsku rządziła naszym krajem: wcielenie do Polski, z wyrzeczeniem się z góry wszelkich myśli o autonomji krajowej.

Cała Białoruś Zachodnia znalazła się w granicach Polski. Fakt ten wszakże nie tylko nie osłabił dążenia tutejszej większości białoruskiej do tego, aby być gospodarzami na swej ziemi, ale spotęgował je i nadał mu konkretny wyraz w żądaniu *autonomji*

*Białorusi Zachodniej*, które weszło, jako główny punkt do białoruskiego programu wyborczego i zostało przyjęte przez polską partję „Wyzwolenie”.

Minęło dwa lata od chwili wcielenia naszego kraju do Polski. Centralistyczne ideały endeckie urzeczywistniły się w pełnej mierze. Kraj zalały elementy napływowe z Warszawy, z Galicji, z Poznańskiego, ludzie zajmujący wszystkie stanowiska w urzędach, szkołach, gminach. Cała policja, która powinna bronić życia i własności ludności, została utworzona z ludzi, nie znających ani tego kraju, ani ludności, do której, rzecz zrozumiała, odnoszą się, jak do obcych. Jakże zaś są wyniki całej tej gospodarki?

Każdy, kto przygląda się naszemu życiu lub chociażby czyta pilnie gazety, wie doskonale, jakie rezultaty dał u nas system administracyjnego centralizmu i usilna polonizacja Białorusi Zachodniej. I trudno się dziwić, że posłowie białoruscy, kiedy p. Thugutt prowadził z nimi rokowania o poparcie dla swego gabinetu, wystawili wśród innych warunków żądanie *autonomji Białorusi Zachodniej z sejmem w Wilnie*.

Endecki „Dziennik Wileński” nazwał powyższe żądanie „bezczełnością”. Od Obstów niczego innego nie można oczekiwać, tembardziej natomiast charakterystyczne jest wystąpienie drugiego polskiego dziennika „Słowo”, organu obszarników, którym, jak widać, przyjezdna administracja dokuczyła tak samo, jak Białorusinom. „Słowo” w Nr 2 z dn. 3 b. m. wystąpiło z żądaniem *autonomji* dla „Kresów”. Czytamy tam w artykule wstępnym:

„Jesteśmy przekonani, że owe łoża prokrustowe centralizacji, które jest jednym z licznych absurdów naszego ustroju państwowego, utrudnia pracę naszej administracji, a czasem paraliżuje dalsze jej zamiary. Dzisiaj nawet ci sami Wilnianie, którzy w roku 1922 z ogniem w oczach wołali *precz z autonomją!* zaczynają to powoli rozumieć...”

Z tego oświadczenia „Zmahańnie” wyciąga wniosek, że hasło *autonomji* naszego kraju staje się coraz bardziej popularnem i że przyjdzie chwila, gdy większość ludności będzie się jej domagała.

Ze swej strony w zupełności podzielamy nadzieje pisma białoruskiego z małym wszakże zastrzeżeniem: *autonomja* naszego kraju z sejmem w Wilnie nie będzie obejmowała tylko Białorusi, ale również i Litwę. Z góry więc należy wykluczyć wszelkie pretensje poszczególnych narodowości do *wyłącznego* panowania w kraju, do roli wyłącznych jego gospodarzy.

Otrzeźwienie u jednych nie powinno wpływać podniecająco na innych...



# Nacjonalizm w kościele.

Nacjonalizm w kościele u nas wszystkim już srodze dokuczył i wszyscy niemal, przynajmniej wtedy gdy są szczerymi ze sobą, stwierdzają chęć położenia mu kresu na widowni kościelnej. Wyrwają się takie życzenia wszędzie: wśród Polaków, Litwinów, Białorusinów...

Czy nie byłoby tedy słusznym, by nacjonalizmy polski, litewski, białoruski, łotewski i inne, grasujące na terenie kościelnym, zawarły ze sobą coś w rodzaju *union sacrée* lub *Burgfriede*?... Dokonać by się to mogło nie inaczej, jak w drodze ofiar, przez tymczasowe uznanie dzisiejszych granic posiadania i wpływów każdego z nich. Co prawda, ofiara poniesiona byłaby tu nierówną: dla tych, co tylko uzupełniają i zaokrąglają swe dominja, znaczyłyby to wyrzec się wcale nie tak wiele, jak dla tych, co dziś posiadają zaledwie strzępy i skrawki swych ziem etnograficznych. W każdym razie godziłoby się wziąć to pod uwagę i spróbować.

Do niedawna uchodziło za rzecz kompromitującą przyznać się do nacjonalizmu, zwłaszcza Polacy na Litwie, Białorusi, Łotwie i Ukrainie odzegnawali się od takich posądzeń. Lecz czasy się zmieniły i dziś być nacjonalistą polskim jest bodaj najlepszą rekomendacją. Dlatego przypuszczamy, że obecnie nikt z Polaków nie będzie już usiłował zaprzeczyć istnieniu gotowego programu nacjonalistycznego co do spolszczenia kościoła. Miarodajne dla opinii endeckiej lwowskie „*Słowo Polskie*” rzuca już hasło upaństwowienia, spolszczenia naszych kościołów... i pisze: „czas jest najwyższy, a warunki wszystkie są po temu, aby państwo przystąpiło do planowej akcji i pracy nad polonizacją naszych... kościołów (por. art. „*Kościół wschodni*” № 155 z r. u.). Być może już sam wzgląd na jawność tego faktu, nie pozwoli u nas endekom dalej wbrew oczywistości wypierać się swego nacjonalizmu w kościele.

Nie byłoby nic w tem dziwnego, jeśliby nacjonalista konsekwentny rozumiał najlepiej genezę nacjonalizmów obcych, jako operujących temiż przesłankami, coby znakomicie ułatwi to mu wżycie się w dusze narodów obcych, nacjonalizmem objętych. Dotychczas jednak wcale nie zanoszą się na to, by nacjonalizmy przestały nawzajem szczerzyć zęby i iście zoologicznie bronić wyłącznego prawa („gospodarz kraju”) do posiadania pewnego obszaru ziemi i rządu dusz tu zamieszkałych. Nikt *pierwszy* nie chce złożyć oręża.

Gdyby jednak to zawieszenie broni między nacjonalizmami doszło do skutku, co dziś jeszcze brzmi utopijnie, kolejnym zadaniem byłaby sprawa zmiany metod szerzenia swych wpływów. Dopóki na prawach wzajemności, kościoły nie będą u nas tak gościnnymi, by w wolnych godzinach, nawet grupa z dziesięciu osób, mogła usłyszeć dodatkowe nabożeństwo w języku najbardziej dla siebie pożądanym, — szkolnictwo winno przygotowywać powoli grunt, na którym kiedyś automatycznie pewne zmiany, np. rozszerzenie praw jakiegoś języka i in., nastąpić będą musiały jako organicznie niezbędne. Przez wpływ podwójny: na dzieci i na rodziców, nauczycielstwo każdej narodowości może oddziaływać na wzrost świadomości narodowej w tym odłamie ludności. To oddziaływanie jest najbardziej naturalnem i kler bez różnicy narodowości najlepiej robi, jeśli swą akcją nie będzie wyprzedzał tego, co powinno

być samorzutnie zrobione wtedy, gdy wybiję dlań tylko godzina właściwa. Kurja biskupia ma być *wpierw* dosłownie zasypana, zarzucona szeregiem petycyj wiarogodnych a domagających się spontanicznie inowacyj językowych w kościele, ma być obeszana wielu delegacjami z poważnemi mandatami w ręku... Jeśli na *takiej* podstawie jakiś ordynarjat zarządzi pewną zmianę, proboszcz odnośnego kościoła może sobie wówczas spokojnie zlekceważyć grymasy i protest jakiegoś tam półpanka lub przybłądy zamiejscowego. Do takiej zmiany przyczynić się może nawet kult pieśni ludowej, duża a poważna praca nad rozwojem języka i in. środki potężnie oddziałujące na stosunek ludu do swej mowy. Ale to wszystko jest tylko teoria.

Życie jednak kroczy naprzód, nie oglądając się na recepty, jakie przepisują dlań różni lekarze. Ktoby się tedy odważył narzucać mu zbyt gwałtownie ze swemi radami? Ktoby śmiał pozbawić je swobody w obiorze dróg a sposobów, najlepiej prowadzących do celów ostatecznych? Dlatego próby rozszerzenia praw języka białoruskiego w kościele, zapoczątkowane przez biskupów Roppa i Łozińskiego (Polaków i patryjotów, chociaż nie endeków) a więc idące od góry, najzupełniej mogą być tu i owdzie robione — z należąca wszelako ostrożnością. Powtarzam, wszelkie przemiany w społeczeństwie iudzkim odbywają się najczęściej nie podług schematu ułożonego w gabinecie polityka lub głoszonego z katedry profesorskiej. Można ubolewać, że tak jest, ale *nie* można tego odmienić.

Jeśli dziś dochodzi tu nieraz do pewnego zaognienia stosunków, to w znacznej mierze winny są temu całe rzesze urodzonych agitatorów, agentów i wprost szpiclów, którzy spragnieni awansów, po swojemu, jak umieją, za niezłe pensje i różne dodatki, występują się w naszym kraju *ad majorem Poloniae gloriam*.

Czy im jednak kiedyś Polska wdzięczną za to będzie?

Ktoby wzruszał ramionami ze zdziwienia, że są ludzie, co tyle dbają o język nabożeństwa dodatkowego w kościele, chociaż dla Boga i Kościoła jest rzeczą zupełnie obojętną, w jakim języku składana jest cześć Najwyższemu, warto przypomnieć zdanie jednego społecznika: *Kto czyjaś mową się posługuje, ten jest tego sługą*. Tak bywa najczęściej, bo tylko wysoki stopień kultury, jak np. w Irlandji, może w drodze wyjątku unieszkodliwić działanie obcego języka na jaźń narodową. *Najmniej* oczywiście stosować się to może do naszego kraju, gdzie analfabetyzm, dosłowny i przenośny, trzyma nie tylko lud, lecz i t. zw. inteligencję naszą w pętach ciemnoty i zacofania. Niestety, są stronnictwa wpływowe, co tę ciemnotę i zacofanie uważają nie za coś bezwzględnie złego, lecz za dobry na dziś środek utrwalenia tą drogą pretensyj terytorjalnych i językowych, chociaż taksy opłat kościelnych większą część wiernych obchodzą głębiej a silniej, niż mowa kazań.

Nacjonalizm jest objawem chorobliwym w tym czasie, w jakim jest nim np. ząbkowanie u dzieci... Jest to, że użyję tu porównania, jakby ruja, bardziej zrozumiała w okazach młodych niż starych... Dała ją organizmom narodowym sama natura, w celach egoistycznych i dla dopięcia ich przeznaczeń, rzeczą jednak rozumu jest miarkować żywiołowość tych popędów, uszlachetniać je i przetwarzać w rozumną miłość kraju i pracę dla ludu. Wszelkie nacjonalizmy winny się pogodzić z *nieuniknionym* wprost faktem



spółzawodnictwa, które zaczęło się już wtedy, gdy przy pierwszej parze ludzi, stanęła obok nich druga podobna doń ludzka jednostka.

Mimo wszystko nie należy zbyt się rozgoryczać z powodu walki nacjonalizmów na terenie kościelnym, bo to tylko epizod przejściowy, o którym ludzkość kiedyś nawet pamiętać nie będzie, jak o chorobach wieku niemowlęcego.

as.

## „Z szlachtą polską polski lud“.

Podczas feryj Bożego Narodzenia odwiedziła mnie znajoma nauczycielka, dziś pracująca na terenie powiatu Dziśnieńskiego. Polka, chociaż nie endeczka i nie szowinistka, bacznie się wpatruje w życie ludu tamecznego, wsłuchuje się w jego nastroje, czyni zestawienia i wnioski. Ponieważ mało kto stoi dziś tak blisko ludu, jak właśnie pracownik oświatowy, przytoczę tu naszą rozmowę.

— Czy istnieje wśród ludu, gdzie Pani pracuje, pęd do oświaty?

— Niewątpliwie. Nie jest on tak wielki i głęboki, jakby nauczycielstwo pragnęło, ale jest faktem. Muszę tylko zaznaczyć, że podłożem tego pędu jest *utilitaryzm*. Lud białoruski, a prawie wyłącznie z nim się stykam, oczywiście nie dorósł jeszcze do tego, by pragnął wiedzy dla wiedzy, nie, oświatę szkolną ocenia on jedynie z punktu widzenia tych *doraźnych* korzyści, jakich z niej uparcie się spodziewa. W chwili obecnej oświata polska wydaje się dlań tyle korzystną, ile nią była przed wojną rosyjską, która dawała mu możliwość załatwić samemu sprawę w urzędzie, wnieść w potrzebie podanie do tej lub owej instytucji, podpisać się na pocztę etc. O tymże utilitaryzmie, świadczy również automatyczne opróżnianie się izby szkolnej, skoro tylko czas wypędzania bydła na paszę nadejdzie. Tylko bardzo rzadkie jednostki, białe kruki, zdolne są i chcą głębiej ująć wartość oświaty, jako takiej.

— Zechce mi Pani poinformować, jaki jest stosunek ludu do nauczycielstwa? np. do Pani?

— Porusza Pan swem pytaniem bardzo bolesną dla mnie sprawę. Stosunek ludu do nauczycielstwa jest mało co lepszy niż do ziemiaństwa, t. j. jeśli ostatni nazwiemy najgorszym, tamten wypadnie zakwalifikować: *wcale zły*. Istotnie, lud nasz całe nauczycielstwo odnosi do kategorii *burżujów*, czyli, mówiąc delikatnie, do najbardziej niemilej mu warstwy. Zasadniczej naogół zmiany się *nie* osiąga, jeśli pracownik oświatowy wykaże się nawet dużą ofiarnością, okazywać będzie ludowi stałą życzliwość, ujmować nader grzecznym obejściem się (*Pan, Pani...*)... Bardzo biedny lud Dziśnieński zawsze jednak uważa nauczycielkę za istotę niezmiernie przez los pieszczoną. Jego zdaniem, ubiera się ona dobrze, je smacznie, pracuje tylko kilka godzin dziennie i, co najważniejsza, otrzymuje miesięcznie stałą pensję! O istotnych nastrojach ludu do nauczycielstwa świadczy u nas fakt, że włościanin chętniej a taniej sprzeda artykuły spożywcze handlarzowi, niż nauczycielce, a jeśli zgadza się coś jej odprzedać, z całą szczerością mówi, że poczuwa się do obowiązku wziąć od niej drożej. *Z kogóż wziąć jeśli nie z nauczycielki*, filozoficznie dodaje sobie pocziwota. Nader przykro jest żyć otoczoną ciągle atmosferą zazdrości. Tembardziej, że ciężka bieda ludu naszego nie da

się zaprzeczyć. Odżywia się on przecież bardzo niedostatecznie (kartoflanka z żytnią mąką stanowi bodaj jedyne *menu*), wiosną musi dokupywać sobie żyta, mleka olbrzymia większość ludu nie posiada wcale... Niedawno pewien ojciec uzalał się przedemną, że jego dzieci dostawszy raz białą bułkę, nie wiedziały nawet co to jest! *Za Mikołaja*, dodał, *nie była ona u nas rzadkością!* A tu jeszcze podatki, które wypada płacić niemal co tydzień, wyzbywając się po cenach stosunkowo niskich zapasów ziarna! Na ogólnem tle tej biedy wiejskiej, nawet chleb nauczycielki ludowej wydaje się im przedmiotem, godnym zazdrości. Więc nie jakaś sympatja, zaufanie lub coś w tym rodzaju, lecz jedynie czysty interes (ów utilitaryzm, o którym mówiłam) każe ludowi szukać zbliżenia się z nauczycielstwem, dla wykorzystania naszej fachkowej wiedzy. Przy tych nastrojach, o prawdziwym współdziałaniu szkoły i domu mowy być nie może.

— Doprawdy smutna rzeczywistość swą posepnością przeszła daleko moje wcale nie optymistyczne przypuszczenia. Ponieważ Pani sama potrafiła o stosunek ludu do ziemiaństwa, pozwolę sobie wyrazić przypuszczenie, iż oczywiste zubożenie naszego ziemiaństwa musiało chyba cokolwiek złagodzić antagonizm dworu i chaty?

— Niestety, tak nie jest. Może nigdy przedtem nie był on tak napięty, jak jest dziś. Czy nie jest charakterystycznym np. zdanie słyszane niedawno z ust ludu: *pan prędzej jeść i spać będzie razem z psem niż z chłopem?! Trzeba było widzieć i słyszeć mówiącego, by niezbicie się przekonać, że to nie żadna naleciałość agitacyjna, lecz najgłębsze przekonanie kmiecia białoruskiego, na którego powstanie i ugruntowanie złożyły się całe wieki, całe pokolenia. W najlepszym razie tylko całe wieki będą mogły odrobić to, co się wytworzyło, jeśli naogół proces odwrrotny jest tu możliwym. Tymczasem wcale na to się nie zanosi: ziemiaństwo co krok zdradza iście burbońską niezdolność do rewizji i przebudowy podstaw swej ideologii. Flirt, brząkanie na rozbitym fortepianie i inne zajęcia jeszcze dziś wypełniają mu niejedną godzinę dnia, natomiast książki poważniejszej nie znajdziesz we dworze ani na lekarstwo.*

— Ale wróćmy od tej dygresji do naszego tematu. Jakież jest obecnie stan szkolnictwa na prowincji?

— Główną bodaj bolączką szkolnictwa jest u nas straszliwy brak podręczników, zeszytów etc, których nabyć nie jest w stanie biedna ludność tameczna. Nauka, udzielana bez podręczników, jest naturalnie bardzo problematycznej wartości dla dzieci. Usiłujemy wprowadzić radzić temu, nabywając za własne pieniądze podręczniki i zeszyty, jednak zaopatrzyć wszystką działość szkolną w nie jest ponad nasze siły. Wynikająca stąd przy nauczaniu ustawiczna mitrega rozgorycza lud i naprowadza go na refleksje w rodzaju takich np. *za Mikołaja rząd sam dawał dzieciom książki i podręczniki!* Jeśli do tego dodamy brak pomocy naukowych, zrozumie Pan, że obowiązek prowadzenia lekcji metodycznych na wsi staje się bolesnym szyderstwem. W naszym rejonie szkolnym są takie zakątki, gdzie nigdy jeszcze nie postąpiła noga inspektora szkolnego. Jeśli my, urodzeni w tym kraju, napotykamy tyle trudności w pracy oświatowej, można sobie wyobrazić, jak nieporadnym się czuje nieraz nasz kolega lub koleżanka z Galicji! O ile są to znowu Ukraińcy, bo i takich można znaleźć w Dziśnieńszczyźnie, to oderwani przymusowo od gleby rodzimej, czują się oni u nas zesłańcami politycznymi, marzącymi o pracy wśród i dla swoich.



— Słyszałem, że odległość niektórych szkół w Dziśnieńskim od najbliższej stacji kolejowej wynosi około 70 kilometrów. Ciekaw tedy jestem wiedzieć, jak nauczycielstwo się urządza, gdy, w sprawach służbowych lub na urlop, wypada komuś pojechać do Wilna?

— Istotnie wszelkie u nas wyjazdy, dla nieodłącznych z nimi strasznych trudności, należą do rzeczy najbardziej przykrych w życiu nauczyciela. Uzależnione są bowiem one od stójek, na które wypada czekać niekiedy tydzień cały! Ale nie na tem koniec. Ponieważ dawane są one przez lud, dla przyczyn zrozumiałych, bardzo niechętnie, tylko pod przymusem, to korzystanie z tej lokomocji jest moralną katuszą dla każdej wrażliwszej jednostki. Zdara się nieraz np. że wieśniak co naprzeklinawszy się dosyta, zajechał wreszcie przed szkołę, ma swój wehikuł celowo nieopatrzony, by po kilku kilometrach musiało zlecieć zeń koło, zepsuć się dyszel lub coś w tym rodzaju. Znane są wypadki podpiłowywania zawczasu osi wózków, by dłuższa jazda była niemożliwą. I wszystko się to czyni jedynie dlatego, by obrzydzić nauczycielstwu korzystanie ze stójek! Ładny obrazek!

— A jak wygląda w praktyce wiejskiej świeżo wprowadzony przymus nauczania szkolnego?

— Jak wypadł on naogół, tego oczywiście wiedzieć nie mogę, atoli u nas, gdzie ludność jest bardzo biedną, usiłowanie ścążenia kary za nieposyłanie dziatwy do szkoły, pozostawiło nadzwyczaj przykre wrażenie. Zelanci litery prawa chcieli ściągnąć karę w wysokości bodaj miliona mkp. od głowy, w tej zapewne myśli, by raz na zawsze odbić ochotę od stawiania sprzeciwu słusznym zarządzeniom władz szkolnych. Dzień ściągania tych kar, jeszcze ciemnym rankiem, zgromadził przed lokalem (*cit venia verbo!*) szkolnym niemały zastęp rodziców, którzy stojąc na dworze żywo omawiali nową praktykę szkolną, jak również kwestję, skąd będą mogli opłacić nałożoną karę. Kosztowała nas ogromnego napięcia nerwów próba, zresztą całkiem bezskuteczna, wyjaśnienia przybyłym celowości zarządzeń władz wyższych, którym odesłana zostanie suma, jaka powstanie z opłaty tych kar. Na własną rękę wypadło znacznie obniżyć ich wysokość, by przez pobranie w formie zredukowanej ratować w tym wypadku powagę administracji szkolnej i jednocześnie nie puścić bezkarnie opieszałości rodziców i opiekunów. Nie wątpię, że sporo jednak rozgoryczenia do nas pozostało w ich duszach.

— Musi być w owym zakątku kraju straszna bieda, skoro lud tak jęczy za każdym dotknięciem jego kieszeni.

— Brak ziemi jest okropny. Niemało rodzin włada *mniej* niż trzema dziesięcinami! Kraj bez przemysłu, więc niema odplywu ze wsi do miast. Naogół przywiązanie do ziemi wprost żywiołowe. Stąd konieczność podziałów. Jednocześnie z tem lud miejscowy jest świadkiem smutnie rozgłosnej dziś kolonizacji przez element napływowy rozłogów białoruskich, na które sam najsluszniej mógłby rościć prawo. Żeby jeszcze nowi koloniści gospodarzyli dobrze, a to, pożałujcie Boże! Zresztą, przy szerszych nawet chęciach, niełatwo im byłoby przystosować się do warunków tak odmiennych, jak u nas, gdzie np. owsy jeszcze w październiku stały na polu! I zmiany na lepsze trudno się tutaj spodziewać: po wydaniu, często nieproduktywnym zasiłków skarbowych, koloniści znajdują się w sytuacji jeszcze gorszej. Nic tak

nie rozgorycza ludu naszego jak owa nieszczęśliwa kolonizacja, śmiesznem doprawdy wydaje się wobec tego ciągle utyskiwanie endecji na rozdmuchiwanie przeciwieństw klasowych, na których zażegnanie jej znachorzy posiadają niby to środki niezawodne. Tymczasem przeciwieństwa te tkwią na wsi białoruskiej niezmiernie głęboko, a polityka rolna rządu ugruntuje je coraz bardziej. Słowem dalecy jesteśmy od ideału, o którym marzył poeta: „z szlachtą polską, polski lud!“ — zakończyła ze smętnym uśmiechem moja interlokutorka.

— Ideał, bodaj wogóle nie do urzeczywistnienia w tym wypadku, jako że lud tu nie jest polski, lecz białoruski — zauważyłem. A jak się przedstawia uświadomienie narodowe, jak się rozwija ruch białoruski?

— Największą dlań może przeszkodę stanowi siła przyzwyczajenia, która jest dominującą w cięższym ludzie białoruskim. Ona to jedynie czyni, że tak ciężkim jest on na przyjęcie jakichkolwiek zmian. Co zaś dotyczy kazań białoruskich w Dziśnieńszczyźnie, nieraz słyszałam, że jeśli mają być głoszone, to księża winni posługiwać się mową ludową, nie literacką, jak to obecnie tu i ówdzie bywa. Jeśli wysunięto już raz hasło zrozumiałości kazań, to winne być chyba wyciągnięte stąd wnioski odpowiednie w całej rozciągłości. — Działacze białoruscy stanowczo przeceniają wpływ polskiej szkoły na lud, bo dziś jeszcze ona daje mu bardzo mało, a czy kiedykolwiek więcej dać mu będzie w stanie, to jeszcze wielkie pytanie. Zresztą można być pewnym, że wobec nader utylitarne poglądu Białorusina na świat, przy wyborze wszelkich orientacyj rolę pierwszorzędną odegrają dlań względy ekonomiczne.

P. K.

## Koncepty Pawła Dmuchy.

Korzystając z wczasów senackich i pobytu w Wilnie, p. Paweł Dmucha, który przez kwartał roku zachowywał milczenie chwalebne o sprawie białoruskiej, na wstępie roku nowego, w wyjątkowo dlań usłużnym „Dzienniku Wileńskim“, zabrał ponownie głos *W sprawie białoruskiej* (Nr 3 z r. b.). Patentowany historjograf Litwy i Białorusi usiłuje (w swym artykule) być rzeczowym a bardzo głębokim. Siega np. do wyższych uczelni rosyjskich i niemieckich i stamtąd wyprowadza rodowód ruchów białoruskiego, litewskiego i ukraińskiego.

Pozwólmy p. P. Dmusze kłamać do syta (*Hospodi pomiluj, Światy Boże, Caryca niebiesnaja*), natomiast zwróćmy uwagę na koniec artykułu, gdzie zaperzony do niepoczytalności autor twierdzi, że *białoruscy i litewscy zagraniczni doktorzy w sutanach... jadem pruskim zatruli... Łotwę nawet!...* Przed powstaniem Łotwy niepodległej, na jej terenie mógł się zdarzyć jeden drugi ksiądz Białorusin, ale bez tytułu naukowego, pracujący tu z ramienia władzy archidiecezalnej, żadnej atoli akcji narodowościowej nikt z nich nie prowadził! Zresztą podówczas w Łotwie kwestja np. kazań białoruskich nie była wcale aktualną, Białorusini w Łotwie stanowią zresztą wobec Łotyszów i Niemców nieznaczną mniejszość.

Dziś znowu w Łotwie niema *ani jednego* księdza Białorusina! Jakże tedy można tak okłamywać ogół, rzucając mu w żywe oczy bajdy o zatrucianiu



Łotwy przez białoruskich doktorów w sutannach jadem pruskim?! Komuż z nich mogło być potrzebnem wtrącać się do *wewnętrznych* spraw Łotwy, narzucając się na nieproszonych opiekunów mas łotewskich? I czy nie mogli z funkcji zatruwania jadem pruskim Łotwy wywiązać się ku zadowoleniu *Vaterlandu* protestancy Niemcy łotewscy, że im pomoc obca była potrzebną?!

Może tedy straszliwe *venena prussiaca*, opatrzone nalepką z godłem *memento mori*, przemycaly do Łotwy litewskie sutanny doktorskie? Księżę litewskich w Łotwie oczywiście było przed wojną więcej, ale pracując dla ludu łotewskiego, większego wpływu na formację ideologii katolickiego ruchu łotewskiego oni nie mieli. Nigdy bowiem nie brakło katolickiej Łotwie księży Łotyszów, gorących miłośników Ojczyzny. Im, a nie komu innemu, w pierwszej linii przysługiwał zaszczytny przywilej urabiania i pielęgnowania ideologii ludu łotewskiego. Żadne obce a wrogie ręce nie byłyby tu ścierpiane przez świadomych celu i niebezpieczeństw płynących z sąsiedztwa z protestantami Niemcami, łotewskich księży patriotów.

Powstanie niepodległej Łotwy daje początek licznemu wyjazdowi księży Litwinów z Łotwy do Litwy i dziś Łotwa coraz szybciej zbliża się do chwili, kiedy wszystkie niemal placówki kościelne obsadzone będą przez rodowitych Łotyszów.

Ale może i ruch narodowy łotewski jest zatruty jadem pruskim? Endecja gotowa wpaść i na podobny koncept!

Mac.

## Z mego notatnika.

### Obłąd szowinistyczny.

„Dziedzina kultury powinna zostać poza sferą walk politycznych — powinna pozostać dziedziną neutralną, bo inaczej schodzimy do otchłani zwyrodnienia i barbarzyństwa. Jeśli pewna grupa obywateli przestaje być lojalną w stosunku do państwa, to państwo powinno posiadać inne środki do wymuszenia tej lojalności — ale w żadnym razie środkiem tym nie może i nie powinien być ucisk w dziedzinie życia kulturalnego — czy duchowego”.

Tak pisze „Głos Wilna” w odpowiedzi na komunikat kuratora okręgu wileńskiego w sprawie zamknięcia gimnazjum litewskiego w Święcianach. Słowom tym tylko przyklasnąć można. Niestety wszystkie rządy najchętniej właśnie posługują się represjami w dziedzinie kulturalnej, jako najłatwiej dającymi się zastosować i przytem najboleśniej dającymi we znaki pokrzywdzonym.

Chociaż Kuratorjum przytacza szereg powodów natury formalnej, które spowodowały zamknięcie gimnazjum litewskiego w Święcianach, niewątpliwie głównym motywem tego zarządzenia była bynajmniej nie troska o wysoki poziom nauczania w szkołach litewskich, lecz niechęć do oświaty nie polskiej wogóle, a litewskiej w szczególności, zgodnie zresztą z panującym obecnie przemożnym kierunkiem nacjonalistycznym w polityce polskiej. Nie ulega wątpliwości, że gdyby w takich samych trudnych warunkach istnienia znalazło się gdzieś na „Kresach” gimnazjum polskie, Kuratorjum nie tylko nie zastosowało by doń tak radykalnej represji, lecz pośpieszyło by mu z pomocą i ułatwiło by mu jego zadanie, patrząc przez palce na rozmaite niedomagania i braki.

Sprawa gimnazjum święciańskiego zapewne nie nabrałoby takiego rozgłosu i nie wywołała takiego zainteresowania w polskiej prasie i opinii, gdyby nie groźba odwetu względem szkolnictwa polskiego w państwie litewskim. Na wieść o zamknięciu gimnazjum litewskiego w Święcianach, w Kownie odbył się szereg manifestacji, w których domagano się zastosowania takich samych represyj względem szkół polskich. Z tego powodu „Dzień Kowieński” zamieścił artykuł, potępiający zarządzenie Kuratorjum wileńskiego, podkreślony z uznaniem przez „Słowo”, a przytoczony również jako argument przez „Głos Wilna”. Żaden człowiek rozsądny nie może aprobować polityki odwetowej. Rząd litewski wykazał by karygodną słabość, gdyby spełnił żądania manifestantów. Słusznie „Głos Wilna” nazywa domaganie się zamknięcia gimnazjów polskich w Litwie przez młodzież i nauczycielstwo litewskie „zdziczeniem moralnym”, nie ma jednak racji pisząc, że objawy tego rodzaju nigdy się nie spotykały w krajach kulturalnych.

Nie wiem, czy Litwę Środkową można zaliczyć do krajów kulturalnych, ale chyba redakcja „Głosu Litwy” nie odmówi tego miana społeczeństwu polskiemu u nas? A jak się zachowały nauczycielstwo polskie i młodzież ucząca się podczas opróżniania siłą lokalu gimnazjum litewskiego na Łukiszkach w roku 1921-ym? Uczniowie gimnazjalni, bodaj nawet skauci, pomagali policji wyrzucać dzieci, wychowawcy zaś asystowali przy tym akcie przemocy i z zadowoleniem obejmowali opróżniony lokal, nie odczuwając żadnego wstydu...

Zdziczenie moralne po wojnie jest faktem niewątpliwym, tylko nie trzeba się jego dopatrywać jedynie u sąsiadów.

### Język i narodowość.

Ostatni spis urzędowy ludności w Litwie wykazał 64.000 Polaków w całym państwie. Z tego powodu prasa polska pomawia rząd litewski o sfalszowanie danych statystycznych, suponując jednocześnie, że ze względów oportunistycznych i obawy przed represjami 90 proc. Polaków nie przyznało się do swej narodowości.

Niewątpliwie w niejednym wypadku brak cywilnej odwagi i oportunizm rolę swą odegrały, być może, że tu i owdzie, jak to często się zdarza, nad miarę gorliwi spisywacze postąpili nierzetelnie, trudno wszakże przypuścić, aby różnice z tych powodów pomiędzy istotnym stanem rzeczy a oficjalnym wykazem były zbyt znaczne. Z drugiej strony nie ulega również wątpliwości, że ilość mieszkańców Litwy Kowieńskiej, posługujących się mową polską jest o wiele wyższą, niż owa skromna cyfra — 64,000. W czemże tkwi tu nieporozumienie?

Kwestja daje się łatwo wyjaśnić, jeżeli się weźmie pod uwagę, że pojęcie narodowości nie jest dotąd ustalone i że język nie stanowi jej głównej cechy. Dlatego też wielu obywateli Litwy uważa się — zgodnie zresztą nawet z tradycyjną nomenklaturą — za Litwinów, chociaż mówi w domu po polsku, modli się z polskiej książki do nabożeństwa i uczy dzieci czytać z polskiego elementarza. Nie jest bynajmniej to dowodem oportunizmu ani nawet braku uświadomienia. Żyjąc w środowisku litewskim, mając w swych żyłach w większości wypadków krew litewską, będąc związanym z otoczeniem litewskim, tysiącem więzów psychicznych i materialnych, a nie-raz nawet rodzimych, taki mieszkaniec Żmudzi, mi-



mo znajomości i przywiązania do mowy polskiej, czuje się bliższym swemu sąsiadowi Litwinowi, niż dalekiemu Mazurowi lub Ślązakowi. Z czystym sumieniem więc wpisuje się na listę jako Litwin, uważając słusznie choć może nieświadomie, że aby się uważać za Polaka nie dość jest posiadać kulturę polską, trzeba kochać Polskę i stawiać na pierwszym miejscu interes narodu polskiego. A cóż na to poradzić, gdy serce jego łączy do Litwy i ludu litewskiego?

Oto, jak mi się zdaje, jest główna przyczyna tak szczerzej pozycji polskiej w spisie narodowościowym Litwy.

Jeżeli zaś tak jest, to nacjonałści litewscy, którzy domagają się zredukowania szkół polskich odpowiednio do danych statystycznych narodowościowych, popełniają, pomijając stronę etyczną, fatalny błąd polityczny. Utrudniając bowiem Litwinom o kulturze polskiej dostęp do szkół polskich, przyczyniają się tem samem do utrwalenia poglądu na tożsamość języka i narodowości i pogłębiają, zamiast zacierać, różnice między dwoma odłamami swego narodu.

Ale jest to cechą nacjonalizmu wogóle, że formę przenosi on nad treść.

Licz.

## Piszą do nas.

### O księży Białorusinów.

Od kilku miesięcy rozpoczęta naganka w prasie endeckiej — nie ustaje. Zasadą dla naszych przeciwników jest, — nie pisać tego, co było. O faktach natomiast nieistniejących, a nawet wprost niemożliwych, „Dziennik Wileński” informuje bez zająknięcia. W ostatniej, naprzykład, napaści w № 284 z 18 grudnia r. b. informator, rozdzierając szaty, wykrzykuje: „Znowu ks. Hermanowicz!"; w tym duchu dalej narzeka, że ks. Hermanowicz zapowiedział z ambony nabożeństwo oficjalne i nieodprawił, „a więc, a cóż” i t. d. Na usprawiedliwienie mam „tylko” stu świadków. Mógłbym zresztą przytoczyć odpis sprostowania, jakie dnia 24 grudnia r. b. parafianie przesłali ks. biskupowi wileńskiemu w tejże kwestji.

Znamiennem jest, że człowiekowi, którego endecja zakwalifikowała, jako „nieprawomyślnego”, wszystko bywa poczytanem za złe, chociażby rzecz sama w sobie była obojętną lub nawet na korzyść sprawy polskiej wyświadczoną. Tak, naprzykład, wyrzucano mi, że, wyświęcając sztandar szkolny, nazwałem go „znakiem honoru” (№ 222 „Dz. Wil.”). Umiłowanym tematem dla „Dz. Wileńsk.” są sprawy z powiatu Dziśnieńskiego; tu sobie może pozwolić. Epitetów klasycznych J. Obstowi nie brak: „jaczajki”, „antypolska i antypaństwowa agitacja”, nie brak i „Lejby Trockiego”. Taki wdzięczny temat podobał się również „Słowu”, które jako „pismo bezstronne” operuje faktami i cyframi. W № 254 (380) pisze: „Aby uniknąć gołosłowności przytoczymy szereg danych...” i dalej: „Powiat Dziśnieński posiada duchowieństwo wyłącznie białoruskie, szerzące wśród swych parafjan agitację antypolską i antypaństwową”. Na mocy tych „danych” występuje „w obronie katolicyzmu” przeciwko biskupowi wileńskiemu. Jeśli „wymowa cyfr jest najbardziej przekonującą”, to i ja mógłbym przekonać „Słowo”, że, idąc ślepo za endecją, plecie trzy-po-trzy, bo „duchowieństwo wyłącznie białoruskie” jest wymysłem. Parafje: Głębokie, Dżisna, Miory, Prozoroki, N. Pohost, Idołta, Mosarz,

lkażń, są obsadzone przez księży Polaków, a są to „parafje bogate”, „nie zniszczone wojną”. Ale cóż? wolno „Słowu” prześcignąć endeków: W № 257 (383) pisze, „księży Białorusini wydatnie pomagają Musze”. Tego nawet Obst nie potrafił wymyślić.

Ks. Józef Hermanowicz.

Łużki.

## Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej.

(Dokoła zagadnienia szkolnictwa żydowskiego).

Z racji odbytej w zeszłym tygodniu w Warszawie konferencji nauczycielskiej szkół z językiem wykładowym żydowskim jako ojczystym, dzisiejszy nasz „Przegląd” poświęcimy zagadnieniom szkolnictwa żydowskiego.

Oto co w sprawie tej pisze naczelny publicysta „Naszego Przeglądu” p. N. S. w artykule pod tytułem „Spór o szkołę żydowską”:

„Walka o prawa narodowe, którą żydzi prowadzą w niezmiernie ciężkich warunkach politycznych została specjalnie utrudniona z powodu wewnętrznych sporów, powstałych na tle dwujęzyczności kultury żydowskiej. Podczas gdy inne mniejszości narodowe opierają swe dążenia oświatowo-autonomiczne na jednolitym typie szkół ludowej, żydzi toczą między sobą zawzięte spory zarówno co do języka wykładowego, jak i co do charakteru szkolnictwa.

Ortodoksja próbuje galwanizować stary cheder, wprowadzając doń „przedmioty świeckie” oraz nowe metody nauczania; sjonisci zakładają szkoły ludowe napoły religijne, napoły świeckie z hebrajskim językiem wykładowym; demokracja robotnicza proklamowała hasło szkoły świeckiej, areligijnej, z językiem wykładowym żydowskim i w ciągu ostatnich lat zdołała utworzyć sieć własnych szkół ludowych”.

Istotnie rozrost szkolnictwa żydowskiego jest zdumiewający. Wileńszczyzna, gdzie żydzi naogół stoją bardzo wysoko pod względem kulturalnym i która posiada najbardziej zorganizowaną i czynną inteligencję żydowską, staje się tym naturalnym terenem, skąd szkolnictwo żydowskie czerpie swe soki żywotne.

Organizatorami tegoż szkolnictwa są we lwiej części działacze robotniczy. Dlatego też w pierwszym okresie szkolnictwo to nosi wyraźne piętno klasowe, co wyraża się między innymi w rugowaniu religji i języka hebrajskiego jako nauk „reakcyjnych”. Powoli jednak szkoła z językiem wykładowym żydowskim obejmuje coraz to szersze warstwy.

Na żądanie rodziców zostaje wprowadzony język hebrajski. Systematycznie szkoła żydowska o zabarwieniu klasowem dąży, by stać się szkołą narodową, co daje asumpt p. N. S. do twierdzenia:

„To też należy z zadowoleniem powitać zdrową ewolucję w obozie lewicowym, z chwilą bowiem gdy hebrajszczyzna została adoptowana w szkołach „radikalnych”, powstaje możliwość przerzucenia mostu ku świeckim szkołom sjonistycznym celem zlikwidowania wspólnym wysiłkiem skamieniałych chederów. Dopiero wówczas walka o prawa narodowe, oparta na jednolitym typie żydowskiej szkoły ludowej, chociażby nieco różniącym się w poszczególnych wypadkach, będzie wprowadzona na tory normalne. Rozbroił się bowiem wtedy najniebezpieczniejszych naszych przeciwników, którzy odmawiają nam praw dlatego, żeśmy jeszcze sami między sobą nie doszli do porozumienia”.



Do tej samej konkluzji doszliśmy w ostatnim numerze „Przeglądu”, stawiając za wzór Żydów kowieńskich, którzy w sposób ugodowy rozwiązali tę tak drażliwą i ważną sprawę.

Żałować wypada, że konferencja nie zajęła się bolączką, którą poruszył — i to naszym zdaniem — p. Wiktor Friszman na plenum Żydowskiego Centralnego Komitetu Oświatowego (według „Togu”) a mianowicie nienormalnym zjawiskiem redukcji ze strony Ż. C. K. O. w ostatnim roku szkolnictwa ludowego i otwierania w tym samym czasie jeszcze jednego gimnazjum.

Albowiem należy zdać sobie jasno sprawę, że w obecnym stadium prawnopolitycznym największe widoki rozwoju posiada szkolnictwo ludowe.

Pisze o tem p. M. Sz. w „Togu”:

„Szkoła nasza przeżywa jeden z najpoważniejszych momentów. W najbliższych kilku latach musi się ona dobić praw — w przeciwnym wypadku będzie katastrofa”.

Nie łudzimy się! Przyznanie praw szkołom żydowskim tak rychło nie nastąpi. A w takim wypadku największą rację bytu posiada żydowska szkoła powszechna, której uczniowie — synowie ludu — szukają przysposobienia się do życia praktycznego, a nie praw.

Żydowskie szkolnictwo ludowe — to trwałe fundament, który może przetrwać najcięższe czasy i przeto musi być otoczone specjalną pieczą.

Rację ma p. A. Gołąb, gdy stwierdza na łamach „Togu”, że przyszła konferencja nauczycielska winna się odbyć w Wilnie, — w kolebce szkolnictwa żydowskiego — a nie w Warszawie, jak nieznaną większością głosów uchwalono.

To też apeluje do nauczycielstwa wileńskiego, by domagało się naprawienia tego błędu.

Miecz. Gold.

## Książki nadesłane do redakcji.

*Stolarzewicz Ludwik.* Bibliografia Mickiewiczowska — Wilno, 1924. Nakładem i drukiem L. Chomińskiego.

*Małachowski Karol.* Bivaki i obozy — Wilno, 1924. Nakładem i drukiem L. Chomińskiego.

*Nowa szkoła żydowska i jej położenie w Państwie Polskim.* Warszawa, 1923. Wyd. „Szkoła i życie”.

*„Apokryf i inne nowele”.* Tłumaczono z białoruskiego przez F. A. Wilno, 1924.

*Łuckiewicz A.* Prawda o „celi Konrada”. Wilno, 1923. Nakładem Białoruskiego T-wa Wydawniczego.

*„Zachodniaja Biełaruś”.* Zbornik gramadzkaże myśli i nawuki, literatury i mastactwa Zach. Biełarusi. Wilnia, 1924.

## Od Administracji.

*Wobec zwiększenia się kosztów druku, papieru oraz poczty jesteśmy zmuszeni powiększyć również wdwójnasób opłatę za pierwszy kwartał r. b. Będzie ona wynosiła obecnie 800.000 mk.*

*Sz. Prenumeratorów, którzy dotąd nie nadesłali przedpłaty, prosimy uprzejmie o jaknajrychlejsze uregulowanie należności.*

# NAJTAŃSZY „WILEŃSKI KALENDARZ GOSPODARSKI”

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH.

SKŁAD GŁÓWNY W DRUKARNI „MOTUS” (WIELKA 14).

## Treść numeru:

Otrzeźwienie. — as. Nacjonalizm w kościele. — P. K. „Z szlachtą polską, polski lud”. — Mac. Koncepty Pawła Dmuchy. — Licz. Z mego notatnika. — Ks. J. Hermanowicz. O księży Białorusinów. — M. Gold. Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej.